Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 32.** Leszno, dnia 11. Lutego 1837.



Majowie hiszpańscy.

Majowie hiszpańcy.

Z pugilaresu biegłego artysty, który Hiszpanią w różnych kierunkach zwiedził, dajemy czytelnikom naszym dość prosty, ale wiele znaczący obrazek, i charakteryzujący nam dokładnie Hiszpanów. Wyraz Majo obszerne ma znaczenie: pierwotnie znaczy odważnego junaka, który już nie jednego splatał figla, nie raz policyantów wywiódł w pole; lecz podług swego wyobrażenia nie popełnił żadnego występku, albowiem burdy i napaści nie są tam uważane za hańbiące sprawy. Początkowo przemycarze, trudniący się tém zyskownem rzemiosłem, w południowéj szczególniéj Hiszpanii nosili to nazwisko. Lecz od napaści Francuzów, ponieważ wojna domowa, właściwie mówiąc, dotychczas nie ustała, Majowie przyszli do większego znaczenia, a nazwisko to aż do Kastylii się rozeszło. Onito główne role grali w Geryllach, i nieraz znając dokładnie położenie kraju, regularnemu wojsku odpór dawali.

Długie boje od roku 1808 do 1814, niszczące wszelkie zawiązki towarzyskiego życia, musiały zostawić w narodzie skłonność do wolnego, niepodległego żołdackiego rzemiosła, które, jeżeli przeciwna strona zupełną zaczynała brać przewagę, przeradzało się w rozboje, podług zdania gminu hiszpańskiego, wcale nie hańbiące człowieka.

W północnéj Europie rządy silne i stałe, odbywające najgłówniejsze sprawy przy stoliku, zastąpiły miejsce dawnéj rozwiązłości, i otoczyły się czujną policyą: a lubo taki systemat, nie jednę może ma niedogodność, jednak ma korzyść stałego porządku, i zachowania raz przyjętych zasad. Taki system w Hiszpanii jest jeszcze nieznany: sposób rządu jak najprostszy, dozwalał zwłaszcza niższym klassom wolności i rozwiązłości, jakich my wcale nie znamy. Cóżby to był u nas za postrach, jakie podziwienie, gdyby regularnie przychodzące do stolicy dilizanse, przybyć nie mogły z obawy napaści rozbojników, lub gdyby w istocie zrabowane i spalone zostały? i to nie raz, lecz kilka razy w jednym miesiącu, a może i tygodniu? Rząd nasz wysłałby czemprędzéj wojsko, dla poskromienia rabusiostwa, które chyba w czasie wojny, w pokoju wcale u nas jest nieznane.

Do takiego nieładu Hiszpan od wieków przyzwyczajony, a zwłaszcza teraz, kiedy tak okropna wojna domowa w kraju się sroży: a jeżeli Gerylle niezbliżą się pod same bramy stolicy, rząd mało dba, choć rozbójnicy łupią dilizanse, rabują podróżnych, i postrach po całych okolicach roznoszą. Hiszpan mierne bardzo ma potrzeby; a wstręt wielki od pracy; dla tego więc niechętnie znosi jarzmo poddaństwa i ciężkiéj niewoli. Przenosi zatém życie tułacze, niepodległe, tak zgodne z jego bujną imaginacyą i skłonnością do awanturniczych przypadków.

Zakony rycerskie.

Kawalerowie maltańscy.

(Dokończenie.)

Mała liczba rycerzy, którzy oblężenie Rodu przeżyli, i 4000 tak pozostałych żołnierzy, jakoteż katolickich mieszkańców wyspy, wsiadło na okręty dnia 1. Stycznia 1523 roku, unosząc archiwa zakonu, relikwie świętych, i sprzęty kościelne, w oczach zwycięzców żadnéj wartości nie mające. W. Mistrz wsiadł na okręt ostatni, i poglądając ze łzami ku brzegom, gdzie poprzednicy jego przez dwa wieki po królewsku władali, wydał hasło odjazdu. Gwałtowna burza napadła małą tę flottę, i przymusiła ją zawinąć do wyspy Kandyi, niegdyś Krety, należącéj naówczas do Rzpltéj weneckiéj. L' Isle Adam, zażalony słusznie na Wenecyan, iż z powodów samolubnéj zawiści, nie chcieli ratować zakonu, odrzucił ofiarowaną gościnność, i uroczystym głosem z okrętu swojego przepowiadając Kandyi los podobny do tego, jakiego wyspa Rodus doznała, puścił się znowu na morze. Po wytrzymaniu wielu burz nowych, skołatana flota zawinęła do Sycylii, ztamtąd do Neapolu, i nakoniec do portu rzymskiego Civita Vecchia, gdzie jéj pozwolono pozostać. W. Mistrz udał się lądem do Rzymu, prosząc Papieża, aby wpływem swoim u monarchów europejskich dopomógł zakonowi do odzyskania wyspy Rodus, albo mu przynajmniéj inną wyspę na morzu środziemném na mieszkanie i własność wyznaczył. Papież, równie jak królowie Europy, obojętnie przyjęli tę prośbę; trzeba się było wyrzec nadziei odzyskania wysp Sporadzkich, i dopiero po siedmiu latach zabiegów i niepewności, W. Mistrz ujrzał się zmuszonym przyjąć od cesarza Karóla V. wyspę Maltę, z należącą do niéj wyspą Gozą, i miastem Tripoli na brzegu afrykańskim.

W roku 1530, w miesiącu Październiku, stary L' Isle Adam z towarzyszami swoimi, udał się do swéj nowéj własności, i z władzą królewską, jako W. Mistrz zakonu, panowanie w niéj swoje rozpoczął. Kraj, równie jak mieszkańcy Malty, znajdowali się w najnędzniejszym stanie. Jedno tylko było miasto na wyspie, „Città notabile“ zwane, i to bardziéj do ruin, jak do miasta podobne; jedna tylko niby twierdza, zwana zamkiem ś. anioła, z rozwalonemi murami, z jedną tylko zardzewiałą armatą i dwoma moździerzami. Cała ludność nie przechodziła 12000, i to będących w największém ubóstwie, z powodu ustawicznych napadów korsarzy afrykańskich. Wyspa Goza liczyła tylko 5000 ludności, i w nielepszym znajdowała się stanie. Smutne to było wynagrodzenie zakonu, po utracie bogatych i pięknych wysp Sporadzkich; lecz i tu pieniądze i energia W. Mistrza, inną wkrótce wszystkiemu postać nadały. Pałace i miasta rosły jakby z pod ziemi; rolnictwo zakwitło, a geograficzne położenie wyspy ułatwiało szczególnie, tak zwa-

nym odtąd kawalerom Maltańskim, przedsiębranie korzystnych wypraw morskich przeciw Turkom i afrykańskim korsarzom. Szczęście sprzyjało im równie, jak w początkach panowania na Rodzie; galery ich stały się wkrótce postrachem śródziemnego morza i nadbrzeżnych miast muzułmańskich; szkoda tylko, że walcząc dla poskromienia rozbójników morskich, sami od pojmanych jeńców, sposób obchodzenia się przejęli, i wiele chwalebnych zwycięztw, tak na morzu jak na lądzie, rabunkiem i okrucieństwem splamili. Domowe ich także obyczaje wykraczały coraz bardziéj z pierwotnych karbów zakonnych, i wkrótce po owładaniu Malty, rozwiązłość i niezgoda między bracmi o mało całego zakonu nie przywiodła o zgubę.

Dwóch rycerzy, Włoch i Francuz, skłóciwszy się na uczcie, wyzwali się na pojedynek, w którym Włoch zabił Francuza. Inni Francuzi zadając zwycięzcy zdradę, z mieczem w ręku uderzyli na niego i jego współziomków, którzy mu na odsiecz przybiegli. Hiszpanie przyłączyli się do Włochów; pół dnia trwała najkrwawsza bitwa, i ledwo W. Mistrz na czele regularnego wojska rozjąć potrafił walczących. Nazajutrz, aby dać przykład karności, dwunastu rycerzy, wyrokiem kapituły, na wygnanie z zakonu i z wyspy skazanych zostało; wielu innych, zwyczajem tureckim, w skórzanych worach utopiono w morzu. Tym sposobem powróciła zgoda, ale siła zakonu osłabła. W. Mistrz, sławny L' Isle Adam, nie mógł znieść tego zgorszenia, i dotknięty nadto stratą dóbr zakonu w Anglii, za rozkazem Henryka VIII. na skarb zabranych, umarł ze smutku w roku 1534. Bracia na grobie jego położyli następujący, a prawdziwie przez niego zasłużony napis:

Hic jacet Virtus, victrix Fortunae.

Opisywać wszystkie czyny kawalerów Maltańskich, byłoby to przedsiębrać historyą wszystkich wojen morskich na morzu śródziemném; gdyż w ciągu więcéj niż jednego wieku, okręty ich miały udział w każdéj bitwie morskiéj Chrześcian z Mahometanami, i same krążąc ciągle po morzu, i trzymając na wodzy rozbójników algierskich, wielką przysługę chrześciaństwu czyniły.

Soliman IV., który ich z Rodu wypędził, nie mógł patrzeć spokojnie na ich nową osadę. Razy kilka, lecz nadaremnie, kusił się o zdobycie Malty. Najpamiętniéjszy z owych napadów, zwany powszechnie „wielkiém oblężeniem Malty," miał miejsce w roku 1565, gdy La Valette, godny następca L' Isle Adama, był W. Mistrzem zakonu.

Flota turecka, złożona z 159 okrętów, niosąc 30000 lądowego wojska, ukazała się przed Maltą dnia 18. Maja, i zarzuciła kotwicę w zatoce ś. Tomasza. Na przeciw tym siłom La Valette liczył tylko 700 rycerzy i 8500 wojska. Lecz twierdze Malty lubo jeszcze nie doskonałe, były już jednak w tym stanie, że mogły oblężenie wytrzymać. W nich zamknięci rycerze, oczekiwali nieprzyjaciela.

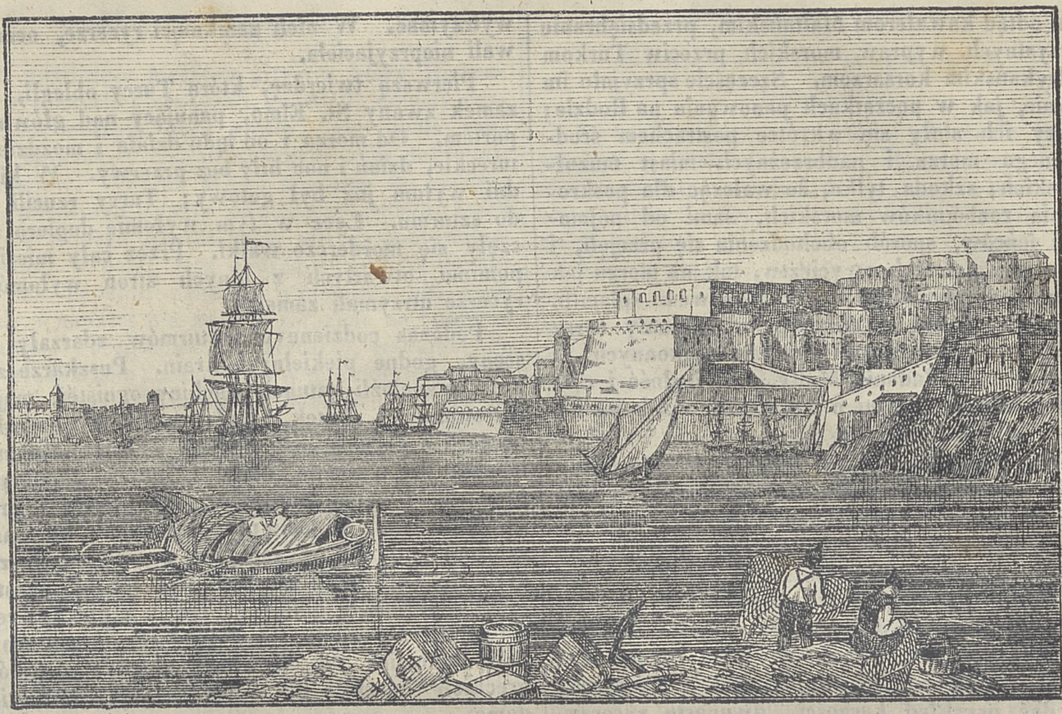
Pierwszą twierdzę, którą Turcy oblegli, był zamek zwany St. Elmo, panujący nad głównym portem. Od morza i od lądu działa i moździerze tureckie, dzień i noc biły bez przerwy. W kilka dni wyłom już był gotowy; Turcy rzucili się do szturmu. Lecz w tym wyłomie dopiero zaczęły się mordercze walki. Przez cały miesiąc, pomimo otwartych z innych stron wyłomów, rycerze utrzymali zamek.

Podczas codziennych szturmów zdarzały się sceny, godne piekielnych krain. Puszkarze zakonu wynaleźli gatunek machiny ognistéj, mającéj straszliwy skutek. Były to grube i szerokie obręcze z najsuchszego drzewa, okręcone lnem, umaczanym w smole, siarce i innych zapalnych płynach, i napełnione wewnątrz saletrą i prochem, umyślnie ku temu przyprawnym. W czasie szturmu zrzucano je zapalone z góry na tłoczących się Turków, i nie raz kilku lub kilkunastu, jednym obręczem objętych, razem z nim żywcem spłonęło. Co zdaje się dowodzić, iż zatracona dziś tajemnica tak sławnych niegdyś „ogniów greckich" musiała być naówczas zakonowi wiadoma.

Po całomiesięcznym oporze, zamek St. Elmo, wpadł nakoniec w ręce Turków, ale wtedy dopiero, gdy ostatni z rycerzy poległ. Żadnego nie wzięto żywcem. Turcy stracili podczas szturmów 8000 ludzi, zakon 130 rycerzy i 1300 prostego wojska.

Po zdobyciu twierdzy St. Elmo, wszystkie prawie inne zamki Maltańskie wpadły już były w moc Turków, gdy niespodziane posiłki z Sycylii Chrześcianom przysłane, zmieniły postać wojny, i przymusiły Turków do spiesznéj z całéj wyspy ucieczki. Oblężenie trwało pół czwarta miesiąca: Turcy stracili podczas niego 25000 ludzi, Chrześcianie 7000 żołnierza, między którymi 260 rycerzy zakonu. Tym sposobem ocalała Malta, ale się stała podobną do jednéj wielkiéj ruiny. Rycerze nie mieli ani pieniędzy, ani żywności, ani ludzi, aby się oprzeć powtórnéj napaści Turków, którą zawzięty Soliman na przyszłą wiosnę gotował. W tych okolicznościach W. Mistrz La Valette uciekł się do podstępu, i wysłał do Konstantynopola najętych podpalaczy, którym się istotnie udało spalić morski arsenał, wraz ze wszystkiemi okrętami, zgotowanemi do wyprawy przeciwko Malcie. W następującym roku, sam Soliman, najzawziętszy nieprzyjaciel zakonu, zginął na wyprawie węgierskiéj. W. Mistrz, korzystając z chwili odpoczynku, obwarował wyspę, wzmocnił twierdzę i założył nowe miasto, od nazwiska swego Lavaletta nazwane, dziś stolicą Malty będące.

Wraz z wielkiém oblężeniem Solimana, kończy się wszelka interessowność dalszéj historyi kawalerów Maltańskich. Potęga ich, znaczenie i męztwo słabiały, stopniami; przestali być nawet



Widok miasta La Valette na wyspie Malcie.

postrachem korsarzy algierskich, tak, że ci nie raz przed ich oczyma Sycylią i Neapol łupili. Wkrótce nawet zaniechali zupełnie wojny, i trzymali się w zakonie jedynie dla bogactw, które jeszcze posiadał. Dochodne komandorye, rozrzucone po różnych krajach Europy, stały się przedmiotem spekulacyi wyższéj szlachty; gdyż nie osobiste zasługi, ale tylko dawność rodu i miłość herbów nadawały prawo do ich posiadania. Kawalerowie odbywszy dla formy krótką podróż do Malty, resztę życia przepędzali, każdy w swym kraju, na zabawach i zbytkach. Rząd ich na wyspie Malcie był niesprawiedliwy i tyrański, który oni tylko sami, ojcowskim i łagodnym nie przestawali nazywać. Nie dziw więc, że w takim stanie rzeczy, zakon ów odwieczny zniknął za jednym razem, prędzéj nawet, niż się można było spodziewać. Dnia 9. Czerwca 1798 roku, Napoleon udając się do Egiptu, zatrzymał się u Malty; i zdobył ją przez kapitulacyą w czterech godzinach, gdzieby mężna załoga przez cztery lata śmiało opierać się mogła. Znajdujących się na wyspie rycerzów, odesłano, gdzie który żądał; i tak Malta po 268 latach panowania zakonu, stała się własnością Francuzów. W roku 1800 Francuzi ustąpili ją Anglikom, w których dotąd dzierżeniu zostaje. Dobra zakonu w różnych krajach Europy, na rzecz skarbu zabrane zostały; i pomimo usiłowań Cesarza rossyjskiego Pawła, aby zakon odnowić, pomimo, że tu i ówdzie widzieć się jeszcze daje krzyżyk Maltański, kupiony lub nieprawnie dany, sławny niegdyś zakon szpitalników ś. Jana, przestał istnieć w rzeczywistości i do wspomnień tylko historycznych należy.

Podróż kapitana angielskiego Back. *)

Kapitan angielski Back, wysłany od rządu dla wyszukania kapitana Rossa, którego już za straconego miano, niedopiął wprawdzie zamierzonego celu, ponieważ w tym właśnie czasie kapitan Ross, jakeśmy już o tém dawniéj wzmiankowali, niespodzianie szczęśliwy swój powrót do Anglii uskutecznił, o czém sam Back późniéj się dopiero dowiedział, kiedy się już był wysoko na północ posunął; tymczasem w téj przykréj podróży, płynąc rzekami co raz daléj na północ, najprzód niezmierną przestrzeń kraju zwiedził, wiele nowych rzeczy odkrył, lub dokładniéj opisał, a między innemi także dał nam ryciny Eskimów i opisy onychże.

„Zajęci przeprawą przez niebezpieczne miejsce,“ pisze w swéj podróży, „spostrzegliśmy na wschodnim pagórku pewną liczbę ludzkich postaci, będących oczywiście w zamięszaniu, a potém kupiących się w jednę grupę. Byli to

*) Reise durch Nordamerika bis zur Mündung des großen Fischflusses und an den Küsten des Polarmeeres in den Jahren 1833, 1834 und 1835, von Kap. Back, aus dem Englischen. 1836.



Prawdziwi Eskimowie północnéj Ameryki.

Eskimowie, których pragnęliśmy poznać. Skoro nas spostrzegli, zaczęli krzyczeć, czegośmy jednak nie rozumieli; gdyśmy się z czołnami naszemi ku nim zbliżali, zaczęli pędzić ku nam, wywijając dzidami, wydawali dzikie odgłosy, pokazując nam na migi, abyśmy się nie ważyli lądować. Gdy zaś łodź nasza do brzegu przybiła, stanęli w półkolu w odległości 25 stóp. Z ich poruszeń i podnoszenia rąk w górę wnosić mogłem, że mieli nieprzyjazne zamiary. Wyszedłem więc na ląd, nie mając przy sobie żadnéj widocznéj broni, i zbliżałem się ku nim wolnym krokiem, naśladowałem ich poruszenia rąk wołając donośnym głosem: Tima! (pokój). Poczém zaraz dziryty swoje w ziemi zatknęli, a ręce złożywszy na krzyż na piersiach, wołali także Tima! Wziąłem to za znak przyjaźni, i starałem się wytłumaczyć im, że niejesteśmy Indyanie, lecz Kablundy, to jest Europejczycy. Zacząłem ściskać im ręce, składając także me ręce na krzyż, usiłując im wytłumaczyć, że my biali i Eskimowie jesteśmy przyjaciółmi. To im się podobało, a bardziéj jeszcze cieszyli się, gdym każdego z nich świecącym guzikiem obdarzył. Tego rodzaju podarunki poczytuję za stósowniejsze daleko, niż noże i siekiery, których dzicy mieszkańcy najczęściéj zaraz przeciwko dawcom używać zwykli. Ich podziwienie było wielkie, gdym ustawicznie zaglądał do dykcyonarza, który mi darował Pan Levis, urzędnik kompanii Hudsonbajskiéj: śmiali się do rozpuku z mego wymawiania niektórych słów, i zaprowadzili nas do swych namiotów ze skór zwierzęcych. Wyszło kilkanaście kobiet i dzieci: dałem im guziki, a oni nam także dali niektóre drobnostki. Wtedy to odrysowałem kilku i napisałem ich nazwiska, co ich bardzo ubawiło: lecz, gdym zaczął czytać [co naturalnie nie łatwém było do wykonania] śmiali się do rozpuku. Było ich około 40, a żaden jeszcze białych ludzi nie widział. W ogóle daleko lepiéj wyglądali, niż ich rodacy, których dawniéj widziałem; a ich fizyonomie nie miały piętna zdradzieckiéj chytrości, charakteryzującéj wszystkich Eskimów. Z resztą bardzo do nich byli podobni: mężczyzni miernego wzrostu, dobrze zbudowani, nie pomalowani po twarzy, nie nosili także owych niewygodnych ozdób w wargach i uszach, które u innych pokoleń daléj ku zachodowi znajdujemy: brody nie wielkie i wąsy.

Kobiety zaś pomalowane miały twarze, a nawet palce. Odrysowałem jednę z nich, która tak się ucieszyła, że troskliwie śledziła każdy mój rzut oka, z bojaźni, aby jaki wdzięk nie uszedł méj uwagi. Dla tego starała się każdą część ciała, któréj rysunkiem zdawałem się podług jéj mniemania być zajętym, wydać i pokazać mi jak najlepiéj: moja więc wina, jeżelim nie zupełnie tę piękność oddał na papierze. Gdym wejrzał na głowę, zaraz ją nachyliła: gdym oczy rysował, wytrzeszczyła je, jak tylko mogła: nadęła policzki, gdym przeszedł do téj części twarzy: gdym usta rysował, otworzyła buzię i wywaliła język. Miała na każdym policzku po sześć linii malowanych: 18 szło od ust przez brodę i dolną część twarzy; dziesięć mniéjszych jak drzewko jakie od oczu, a 8 na czole pomiędzy brwiami aż do nosa. Szczególniéj oczy zdawały mi się być ukośne: nozdrza duże, usta wielkie, włosy krucze i na czole na dwa duże

loki albo raczéj powrozy przedzielone, obwiązane wstążką ze skóry zwierzęcéj: reszta włosów z tyłu na barki wolno spadała. Wszystkie kobiety miały ubiór czysty i wyglądały dość żwawo, i podobały się mym ludziom.“

Anekdoty o Krasickim.

Nie wszyscy mamy chęć, sposobność, i nie wszyscy jesteśmy w stanie pisania pamiętników; rzadko się przecież znajdzie taki, któryby od ojców swoich nie słyszał jakiego zajmującego zdarzenia, jakich dowcipnych odpowiedzi dawniéjszych osób, jakich powieści gminnych, miejscowych, familijnych, i jakiego nakoniec opowiadania dawnych czasów, które dotąd rozproszone giną marnie, umieszczone zaś w jakiém piśmie peryodyczném, ułatwiałyby skreślenie charakterystyki osób i wieku. Radbym zwrócił uwagę ziomków moich na ten nowy skład ojczystych skarbów, które bez wielkiego trudu wydobyćby się dały. Mnogie byłem uzbierał w téj mierze foliały, zaginęły one skutkiem ostatnich zaburzeń. Pojedyncze tylko zostały mi w pamięci anekdoty, z których dziś niektóre z Krasickiego życia, jako dotąd może nieznane, przesełam Redakcyi.

Długo Krasicki bywał ulubieńcem tak Stanisława Augusta jak i Fryderyka Wielkiego. Za przybyciem jego do Potsdamu, przeznaczył mu Fryderyk pokoje, które dawniéj Wolter zamieszkiwał, mówiąc, iż czyni to dla wzbudzenia w nim natchnienia do nowego dzieła poetycznego. Utrzymują współcześni Krasickiego, że wierny wezwaniu króla, celniéjszego z dzieł swoich tamże dokonał, a monarcha nie raz z żartem oświadczał, że i on jest w części twórcą poematu Polskiego. Znana nam jest dowcipna odpowiedź Krasickiego, dana Fryderykowi względem obciętego płaszczyka. Słowem, wszystkie nam znajome szczegóły pobytu jego w Potsdamie, dowodzą, ile miłym był królowi, i jak swobodne tamże przepędzał chwile. Raz przecież niepomnę, czy z Warszawy, czy też z Potsdamu, mniéj zadowolniony wracał do Heilsberga, a przez czas popasu w jednéj wiosce przechadzając się blisko wodnego młyna, takie na nim skryślił i zostawił wierszyki:

Życie u dworu jak woda przy młynie,
Wznosi się, szumi, upada i ginie.

Krasicki w czasie pobytu swego w Warszawie zapraszał nieraz na obiady celniéjszych w ów czas poetów. Na jednym z tych wszczęła się rozmowa o wpływie poezyi na życie narodowe. Przyznawano Krasickiemu, że walcząc bronią śmieszności, z wielu przywar kraj swój uleczył. „Może być,“ rzekł Krasicki, „lecz cóż dotąd uczyniono na wykorzenienie gęszczących się zbrodni? Gdybym miał siłę i czerstwość stylu Naruszewicza lub Trębeckiego, nie małobym był gromów naciskał. Wstydem jest prawdziwie, że dotąd nic dość jednego w téj mierze nie mamy.“ Mamy, zawoła, Dmochowski. Znam ja wiersze na podłą i przedajną duszę, którychby nam każda pozazdrościła literatura:

Mały złodziéj wart chłosty, lecz ten, co kraj zdradza,
Lubo tyle za sobą hańb, sromot sprowadza,
Iż owe sławne sosny z nadbrzeża Pilicy
Jeszcze małe do składu jego szubienicy;
Przecież filut, wisielec, na co patrzyć zgrozą,
Nosi wstęgi na szyi, co warta powrozą.

To Juwenal! krzyknie Krasicki. — Nie Juwenal, rzecze Dmochowski, ale Krasicki, który tyle pięknych dzieł utworzywszy, mógł kilku własnych wierszy zapomnieć. — Jeżeli istotnie są moje i zapomniałem ich, odpowie Krasicki:

Chylącego się wieku zwykłe to przywary,
Wzniosłeś mnie jak poetę, przypomniał, żem stary:
Słabym tylko płomyczkiem dawny ogień pała,
Zerwana już ta strona, co dźwięk ten wydała
Niegdyś rzeka spieniona, dziś strumyk wązinki,
Pomruczeć tylko mogę, i to na czas krótki.

Ktokolwiek przed czterdziestu laty po naszych jeździł drogach, pamięta zapewne ich stan nieszczęśliwy, a zwłaszcza owe wąskie grobelki i węższe jeszcze na nich mostki. Zawsze prawie była przed mostkiem kałuża, za mostkiem kałuża, bale zaś prawie nigdy nie przybite, tak, iż koniecznie trzeba było samym środkiem mostku jechać, aby się nie przeważyć i nie wpaść w błoto po uszy. W tak smutném właśnie położeniu zastał starego szlachcica Krasicki, objeżdżający swoje dobra Biskupie, a rozkazawszy służącym wydobyć mały wozek, tak się odezwał do podróżnego: złe Panie bracie mamy drogi, a gorsze ponojeszcze mosty. Ita est, reverende Domine, odpowiedział szlachcic, nieznający Krasickiego. Noster episcopus est bonus episcopus, sed malus pontifex.

Zaproszony raz został Krasicki na łowy, gdzie w gronie polujących znajdował się i Stecki, kawaler Maltański, znany z nadzwyczajnie krótkiego wzroku. Kiedy więc wszyscy zajmowali swoje stanowiska w kniei, wyznaczono i dla Steckiego jedno, najmniéj znaczące, z pewnością, że żaden zwierz na niego wyjść nie może. Lecz jakież było wszystkich zadumienie, gdy wśród powszechnéj jeszcze ciszy usłyszano nagle strzał w stronie Steckiego, a po nim krzyki przeraźliwe. Pewni, że kawalerowi naszemu zdarzyło się nieszczęście, biegną ku niemu z przestrachem, który wkrótce w najweselszy śmiech się zamienił. Zaledwie bowiem stanął Stecki na swojém miéjscu, usłyszał jakiś szelest w krzaku, a pewny, że w zwierza uderzy, strzelił, i w miéjsce trudne do wymienienia, śpiącą tam babę ugodził. Nagrodzono sowicie babinkę, zaledwie draśniętą, a Krasicki natychmiast następujący improwizował czworowiersz:

Przyzwyczajony do wojny tureckiéj,
Pięknie się spisał nasz kawaler Stecki.
Jakże w nim widać odwagę maltańską,
Choć sam — uderzył w Portę Ottomańską.

Do Redakcyi.

Od niejakiego czasu z kilku mymi przyjaciołmi wziąłem się do pisania **słownika starożytności polskich.** Dzieło to ma być dosyć obszerne, i wszystko polskie obejmować, nietykając jednak biografii. Ja już spędziłem do 400 artykułów, i spodziewam się, że moi przyjaciele dodawszy swoje, dopełniliby liczby 1000. Ponieważ przedmioty systematyczne, niepodobna tylko przez pierwsze litery układać, ale przez cały alfabet razem iść trzeba; przeto pomimo téj liczby, jeszcze nawet pierwszy tom daleki od ukończenia. Mam jednakże nadzieję, iż koło środka b. r. może być wygotowany. Aby publiczność obeznać z celem naszego przedsięwzięcia, przesełam 9 artykułów do umieszczenia pojedyńczo w Przyjacielu Ludu. J. M.

Łowy.

(Wyjątek z rękopismu: Słownik starożytności polskich.)

Polacy, jako lud wojenny, ruchomy, do xiążki nie nadto porywczy, lubili niezmiernie łowy. Już Bolesław Wielki miał w nich upodobanie. Po nim przedstawiają historycy Bolesława Krzywoustego jako zaciętego nieprzyjaciela niedźwiedziów, który i koło Noteci i w samém ujściu Odry po puszczach uzedomskich uganiał się za nimi. Władysław Wygnaniec na łowach nocował niewygodnie, kiedy o swojéj żonie i Dobieszu nie miłą dla siebie usłyszał nowinę. W czasie rozdziału kraju pomiędzy potomkami Krzywoustego byli chłopi, którzy mieli obowiązek psy pielęgnować, sokoły po lasach liczyć i wybierać, zkąd pewnie tyle wsi **Sokolnikami** zwanych początek wywodzi. Byli i tropownicy, którzy musieli po śniegu ślady zwierząt do kniei rachować i ścisłe raporta o ich poruszeniach czynić. W owych czasach łowy te już z mięsa, już przez kosztowność skór łosich i futer, stanowiły ważną część dochodów xiążęcych, i łowczy mógł się liczyć za urzędnika skarbowego.

Kazimierz Wielki na łowach miał przygodę z konia, w skutek któréj umarł. Władysław Jagiełło był wielki myśliwy; wreszcie któryż król i w którym kraju nie był przedtém myśliwy? Jak królowie, tak też i szlachta żyła we wojnie i w łowach. Łowy po wielkich puszczach były prawie wojenną zabawą: sprowadzano na nie tysiące ludzi, z których nie wszyscy z życiem lub zdrowo wychodzili. Im w dawniejsze cofniemy się lata, tém większe w Polsce pokazują się lasy, aż Polska w jednym ginie lesie. Było więc wiele zwierza, który dziś albo nie istnie, albo bardzo rzadki, jako to: żubr, tur, łoś, ryś, żbik, różne niedźwiedzie.

Przed strzelbą palną, pies i oszczep główną były pomocą myśliwca; potém następowały sieci nie tylko na ptaki, zające, ale i na najgrubszego zwierza. Za Zygmuntów szczuto już zające chartami. Od najdawniejszych czasów ulubione były od panów łowy z drapieżnymi ptakami, które już to same łapały zające i czaple białe, dla swoich piór do czapek bardzo pożądane, już też przelatywały tylko dla straszenia zwierząt, aby się nakryć siecią lepiéj dały. Choć już były fuzye, przecież rzadko dokładne, i proch strzelecki był drogi, dla tego fuzyi mało kto używał. Wytropowanego na śniegach niedźwiedzia, poruszano z kniei i rozstawionemi naokół wartami umiano tak kierować, że na samego pana wyjść musiał, i czy od jego oszczepu, czy też późniéj od jego fuzyi zginąć. Z xiążek starych o polowaniu, znamy tylko **Myślistwo ptasze Cygańskiego,** przypisane Stefanowi Batoremu, w którém autor uczy wierszem i prozą, jak robić i ustawiać sieci, jak chwytać i układać ptaki.

Między wielkimi praktycznymi myśliwymi słynie Karól Radziwiłł, pospolicie od przysłowia swego **Panie kochanku** zwany. On Augustowi III., zaproszonemu na wielkie łowy do dóbr, w których ledwie drzewa rosły, kazał las zasadzić i wszelkim zwierzem napełnić. Lepsza jeszcze ta powieść, iż niedźwiedzia, który mu się w lesie hardo stawił, kozakom żywcem kazał pojmać; potém od tyłu do połowy ogolić, batogami schłostać, i dla przykładu i nauki innych niedźwiedziów, do lasu puścić. Mickiewicz w **Panu Tadeuszu** zrobił myśliwską sławę **Reytanowi.** Łowów za czasów Piastów używali Polacy swobodnie, bez pytania się o granicę. Ustawa Władysława Jagiełły z roku 1423, temu, któryby cudze psy chwytał, nałożyła trzy grzywny kary i trzy za zabranie zwierza. Niedługo jednak potém zmieniły się prawa: roku 1505 powiedziano, że wykopujący młode lisy na cudzym gruncie 10 grzywien zapłaci i będzie zmuszony puścić lisy do lasu. W statucie litewskim zaś powiedziano, że tylko lisy i wilki na cudzym gruncie, bez niszczenia zbóż łowić wolno. Ograniczenie ścisłe łowów stanęło dopiero za Stanisława Augusta roku 1775 w ten sposób: 1) Kto na cudzym gruncie bez pozwolenia łowi, traci psa, strzelbę, wszelki sprzęt i 1000 grzywien płaci. 2) Choć ma kto pozwolenie, to zwierza czworonożnego, kuropatwy i bekasy może łowić tylko, począwszy w tydzień od S. Bartłomieja do 1. Marca. 3) Kto na cudzym gruncie bez pozwolenia dziedzica na 3 mile od Warszawy łowi, w któréj to odległości służy także prawo królowi, ten w sądach potocznych Warszawskich odpowiada. Rozumie się, że na korzyść wilka i lisa tych przepisów nie tłumaczono.

Wit Stos Krakowianin, snycerz wieku XV.

Kościół Panny Maryi w rynku Krakowskim, jest budowlą najpiękniejszego stylu gotyckiego. Każdy kto ją ogląda, zaledwo uwierzyć chce, że ją uszanowały sześć wieków; że przez ten czas



Wit Stos Krakowianin.

runęło tyle gmachów, przemknęło się tyle pokoleń, a ona sama zniszczeniu niedostępna, nie przestaje zachwycać i podziwienie obudzać.

Wewnętrzna wspaniałość tego przybytku chwały Boga, zgodnie odpowiada zewnętrznemu kształtowi; a piękne pomniki z marmuru i bronzu, oraz wspaniałe ołtarze, do licznych jéj należą ozdób: wszakże naczelnym i rzadkim pomnikiem starożytnéj sztuki, jest wielki ołtarz wprawdzie z drzewa, dzieło znakomitéj wielkości, dowodzące talentu w rzeźbiarstwie artysty Krakowianina, imieniem Wit Stos, który w roku 1477 robić go zaczął, a po dwunastu latach z niemałym kosztem dokończył, gdyż ten złotych ówczesnych 2808 wyniósł.

Rzeźbiarz ten, którego wizerunek wyjęty jest z dzieła C. G. Murr: Journal der Kunstgeschichte etc., urodził się w Krakowie roku 1447, najpewniéj z rodziców pochodzenia niemieckiego, i tu do lat 53. życia swego zamieszkał, a będąc snycerzem, malarzem i rytownikiem na miedzi, pracował dla króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka, jak świadczy Fuesly Künstler-Lexicon.

Prócz wielkiego ołtarza u P. Maryi, posiada również i kościół katedralny Krak. znakomite dłóta jego dzieło, a tém jest monument (Cenotaphium) dla tegoż króla Kazimierza Jagiellończyka, który mu on z nakrapianego porfiru wyrobił, i na którym imie i nazwisko jego FEIT STVOS, oraz datę roku 1492, która jest razem i rokiem śmierci tego króla, widzieć można.

Jeszcze jeden piękny rzeźbiarstwa utwór, który za płód dłóta tegoż artysty uważaćby można, znajduje się w murze kamienicy na cmentarzu kościoła P. Maryi. Jestto Chrystus w Ogrojcu, płaskorzeźba w kamieniu: podobny rodzaj roboty, w przyrównaniu jéj do dłóta wielkiego ołtarza, oraz starożytność jéj, przemawiają za tym domysłem, który potwierdzić lub odrzucić do znawców sztuki należy.

Wit Stos w roku 1500 wyprowadził się z Krakowa do Norymbergi, i tam umarł blisko stoletni, w roku 1542. W archiwach miasta Krakowa znajduje się ten zapis: „Meister „Vitus, der Bilderschnitzer, hat das „Altar zu Maria Virgo gemacht, und ist davor Frey-Bürger; a bliższe szczegóły o budowie tego ołtarza obejmuje pismo umieszczone na stronicy 351 dzieła Kraków i okolice pr. A.G. wyd. 3. roku 1836. Kraków.

O fałszowaniu win.

Prawdziwych uciech życia jest tak mało, tych, którzy umysłowe roskosze pojąć i tworzyć je sobie zdolni, tak niewiele, że świat najsmętniéjszą przybrałby był postać, ludzie to z nudów, to z kłopotów o rozpacz by byli przyprawieni; gdyby zaradcza natura, obok milionów swojéj dla człowieka szczodrobliwości owoców, z łona ziemi winnéj także nie była wydobyła latorośli. Z jéj to obfitych soczystych jagód, tłoczy człowiek napój błogi, napój boski, prawdziwy nektar dla siebie; nim rozwesela umysł i serce, leje w krew zdrowie i życie, zagrzewa odwagę, zaostrza dowcip, gasi nienawiść, rozochaca, rozczula, rozrzewnia, a w starości jedyną daje skrzepłym siłom podnietę. Któż kiedy w gościnnym Polaka domu, w płomieniejących biesiadników licach, w ochoczéj wszystkich wesołości, w któréj znikały niesnaski, i tylko jedno braterskie panowało uczucie, nie podziwiał błogich skutków wina? któż sam wziąwszy w rękę kielich jagodowego płynu, nie pasł oczu przezrokiem złocistego koloru, nie załechtał uroczym smakiem języka, a czując łagodnym napojem zagrzaną krew, umysł i serce, w przebierającém szczęśliwego zadowolnienia uczuciu, nie wyrzekł, że nic nie ma nad wino!

Lecz jak wszystko, co jest święte, skażoném; co jest szlachetne, spotwarzoném; co dobre, zepsutém przez ludzi zostało, tak i ten drogi dar niebios skalały przemysł i chciwość ludzka. Zamiast czystego wycisku z winogron, pijamy roczyn z różnych, najczęściéj zdrowiu szkodliwych dosadów; ztąd téż zamiast przyjemnych, dolegliwych doznajemy z takiego napoju skutków: a że fałszowanie win tak się już teraz upowszechniło, i sztuka winiarzy do tego doszła stopnia, że i najlepszemu znawcy fabrykowane wino od czystego odróżnić trudno; to choć się komu i zdarzy prawdziwego zakosztować wina, sama obawa, że go może jednak oszukano, odbiera mu połowę ułudy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)